

FARMA

JOANNE RAMOS

FARMA

tłumaczenie
Grażyna Woźniak

Książkę dedykuję mojej matce
Elvirze Abad Ramos

JANE

Kiedy Ate po raz pierwszy wspomniała jej o Złocistych Dębach, Jane nie miała pracy od blisko trzech miesięcy. Po tym jak zatrudniła się u Carterów, znaleziono kogoś na jej miejsce w domu opieki, a dawna szefowa tylko od czasu do czasu mogła jej zlecić jakąś zmianę. Jane była coraz bardziej zdesperowana.

– Pani Rubio korzystała z usług Złocistych Dębów przy swoim czwartym dziecku. Przy poprzednich ciążach miała za dużo problemów: nadciśnienie tętnicze, hemoroidy i na dodatek musiała leżeć plackiem w łóżku! – wyjaśniła Ate.

Złociste Dęby zatrudniały surogatki. Kobiety wybrane do roli Żywicielek mieszkaly w luksusowym ośrodku na wsi, gdzie musiały tylko odpoczywać i dbać o to, żeby dziecko w ich łonie było zdrowe. Jak twierdziła pani Rubio, Klientami Złocistych Dębów byli wyłącznie najbogatsi, najbardziej wpływowi ludzie z całego świata, a Żywicielkom płacono mnóstwo pieniędzy.

– Sama bym się tam zatrudniła, gdybym mogła. Praca jest łatwa, a pieniądze duże! Ale jestem za stara – westchnęła Ate.

– O jakich kwotach mowa? – zapytała Jane, kładąc rękę na brzuszku Amalii, żeby nie stoczyła się z łóżka Ate.

– Więcej niż zarobiłaś u Carterów – odparła zdecydowanym tonem Ate. – A pani Rubio mówi, że jeśli spodobaś się Klientce, możesz zarobić jeszcze więcej.

Ate wsunęła w dłoń Jane jasnoszarą wizytówkę, na której widniały: MAE YU i numer telefonu.

– Może to będzie twój nowy początek, Jane.

Aplikowanie do Złocistych Dębów było czasochłonne, ale nieskomplikowane. Należało wypełnić mnóstwo formularzy. Jane zgodziła się, by sprawdzono jej pochodzenie oraz historię kredytową, i przesłała działowi kadr kopię dokumentu nadania obywatelstwa. Musiała przejść badania medyczne w gabinecie lekarskim w pobliżu East Rivers oraz serię innych testów, nieco dziwnych, w mniejszej klinice w York.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że te późniejsze testy całkiem jej się podobały, po części dlatego że srebrnowłosa kobieta, która je przeprowadzała, zapewniła ją, że nie ma złych odpowiedzi. Najpierw pokazała Jane serię plamiastych kształtów, prosząc o ich opisanie. Później zadała jej kilka pytań, na przykład, jak się czuła, będąc wychowywaną przez Nanay, i co ją złościło. Na koniec Jane zasiadła do testu komputerowego, gdzie musiała tylko zaznaczyć, czy i w jakim stopniu zgadza się z różnymi stwierdzeniami.

„Wszystkie moje problemy to wyłącznie moja wina”.

Jane pomyślała o Billym, pani Carter i kliknęła: „Zdecydowanie się zgadzam”.

„Dużo rzeczy robię lepiej niż większość osób, które znam”.

Jane prawie roześmiała się w głos. Przecież nawet nie miała matury!

„Zdecydowanie się nie zgadzam”.

„Nie mam nic przeciwko temu, by ktoś mówił mi, co mam robić”.

„Zgadzam się”.

Kilka tygodni później Jane otrzymała maila od Mae Yu, dyktor zarządającej Farmy Złociste Dęby, z informacją, że przeszła dwa pierwsze etapy „niezwykle wymagającego” procesu selekcji Żywielek. Na początku stycznia zaproszono ją na rozmowę do Złocistych Dębów.

Jane miała mnóstwo spraw na głowie. Była zajęta szukaniem mieszkania, do którego mogłaby się przeprowadzić razem z Amalią i Ate, gdyby dostała tę pracę – jak miała znaleźć czas na naukę? Ate, jak zwykle, wzięła sprawy w swoje ręce. Kupiła stertę poradników dla przyszłych matek i nauczyła Jane robić fizyki. Szukała ogłoszeń wynajmu mieszkań bezprowizyjnych* i jeździła je oglądać razem z Amalią, żeby Jane mogła się spokojnie przygotować do rozmowy, i co wieczór ją przepytowała.

– Co należy jeść podczas ciąży? Jakiej muzyki najlepiej słuchać, żeby płód był mądry? Dzięki jakim ćwiczeniom poród będzie łatwiejszy? – pytała Ate, siedząc przy kuchennym stole w domu w Queens, i ssła twardego cukierka w kształcie świętecznej laski, który wystawał jej z ust.

– Jedzenie bogate w kwasy omega-3, muzyka klasyczna, na przykład Mozart... – zająknęła się Jane. Nie tylko czuła się jak idiotka – nigdy nie radziła sobie zbyt dobrze na egzaminach czy nawet prostych testach z literowania – lecz także miała wyrzuty sumienia, że nie wiedziała tego wszystkiego, będąc w ciąży z Amalią.

– Dzięki ćwiczeniu mięśni Kegla – odpowiedziała jej Ate, zerkając na Jane znad okularów do czytania. – Nie denerwuj się tak.

– Kiepsko sobie radzę z zapamiętywaniem różnych rzeczy – przyznała Jane bliska łez.

– Poradzisz sobie. To im powinno zależeć na tobie.

* Chodzi o comiesięczną, wliczaną do czynszu prowizję dla agencji nieruchomości pośredniczącej w wynajmie mieszkania.

Rano w dniu rozmowy Jane jedzie pociągiem w kierunku północnym i wymacuje w kieszeni różaniec. Ate pewnie wsunęła go jej do płaszcza na stacji metra, gdy Jane była zajęta Amalią. Po śmierci Nanay – zanim dowiedziała się, że matka ściągnie ją do siebie – Jane zmówiła pewnie z tysiąc zdrowasiek, korzystając z różańca, który zabrała z szafki nocnej babci. Paciorki były gładkie od częstego używania, tak jak w różańcu Ate.

Jane jest tak zdenerwowana, że zbiera jej się na wymioty.

Ma wrażenie, że pociąg wcale nie jedzie szybko, chociaż tak jest. Wieżowce za oknem ustępują miejsca niższymi blokom, a później domkom z ogródkami, domom z większymi ogrodami, coraz bardziej rozległym polom i wreszcie lasom. Jane obraca w palcach paciorki różańca Ate i próbuje się modlić, ale od mamrotania znajomych słów robi się senna. Zmusza się, by wstać i przejść do wagonu restauracyjnego. Myśli o księdzu z Bulacan, wiecznie zgarbionym, który uczył katechizmu dzieci z wioski. Ksiądz opowiadał im kiedyś, że Jezus tak bardzo cierpiał przez grzechy całej ludzkości, które dźwigał na swoich barkach, iż pewnego razu, stojąc w ogrodzie oliwnym, zaczął się pocić krwią. Jezus pocący się krwią! Z powodu naszych grzechów!

Ksiądz opisywał cierpienia Jezusa grzmiącym głosem, chociaż zwykle brzmiał on słabo i bojaźliwie. Później przez długi czas, za każdym razem gdy Jane była niegrzeczna – zbiła talerz i ukryła skorupy w koszu na śmieci, okłamała Nanay, że wróciła ze szkoły prosto do domu – bała się, że złe uczynki zabarwią jej pot na czerwono. Starła się wtedy nadmiernie nie przemęczać i bawić się w cieniu. Kiedy wreszcie zwierzyła się ze swoich obaw Nanay, dostała w tyłek za bluźnierstwo.

W wagonie restauracyjnym Jane zamawia dużą kawę i szybko ją wypija. Za oknami przelatują kolejne farmy i pastwiska, a na nich krowy, konie i owce. Zwierzęta z dziecięcych książeczek. Czy Amalia by je rozpoznała? Jane czyta teraz córce każdego dnia, tak samo jak czytała Henry’emu, bo tak kała jej pani Carter. Twierdziła, że mózgi małych dzieci chłoną

wiedzę niczym gąbka. Pociąg zatrzymuje się na właściwej stacji, kiedy Jane akurat jest w łazience. Prawie skręca sobie kostkę, pospiesznie wysiadając z pociągu. Przy krawężniku stoi szereg równo zaparkowanych samochodów. Jane nie ma pojęcia, jak znaleźć właściwy. Mija je wszystkie, starając się nie zwracać uwagi na przyciasne buty – nie miała ich na nogach od dnia ślubu – i zagląda przez każdą z szyb z miną wyrażającą jednocześnie nieśmiałość i skruchę.

Kierowca jednego z samochodów na końcu szeregu uderza w klakson. Jane zauważa czarnego mercedesa z umieszczoną za szybą od strony pasażera tabliczką z nazwiskiem „REYES”. Carterowie mieli taki sam samochód, łącznie z lekko przyciemnionymi szybami. Jane szczerzej otula się płaszczem i szybkim krokiem zmierza w stronę mercedesa. Przednie drzwi się otwierają, ze środka wyskakuje kierowca, żeby się z nią przywitać. Jane chce się do niego uśmiechnąć, ale nie może. Wślizguje się do środka, nie wiedząc dokładnie, dokąd jedzie, i znowu próbuje się pomodlić.

– Jesteśmy prawie na miejscu! – oznajmia kierowca jakiś czas później.

Jane budzi się, oszołomiona. Zamierzała poświęcić ten czas na przejrzenie fiszek.

– Ładnie tu, co? – pyta, nawiązując z Jane kontakt wzrokowy we wstecznym lusterku.

Wjeżdżają pod górę drogą wysadzaną drzewami, w których Jane rozpoznaje dęby. Dostrzega za nimi dużą białą posiadłość z ciemnozielonym dachem, masywnymi białymi kolumnami, przestronnym gankiem i mnóstwem rozświetlonych okien. Zielone, pełne zawijasów litery na drewnianej tabliczce układają się w napis: FARMA ZŁOCISTE DĘBY.

Jane dziękuje kierowcy, czując, jak serce trzepocze jej w piersi. Przez chwilę stoi przed frontowymi drzwiami posiadłości, na

których wciąż wisi bożonarodzeniowy wieniec, zbierając się na odwagę. Zanim jednak zdąży zapukać, drzwi szeroko się otwierają.

– Ty pewnie jesteś Jane – zwraca się do niej z uśmiechem ładna blondynka z włosami zaczesanymi w warkocz.

Bierze od Jane płaszcz, proponuje coś do picia i prowadzi ją do dużego pomieszczenia ze ścianami pomalowanymi na maślany kolor, na których wiszą obrazy. Jane siada blisko kominka. Spogląda w górę na drewniane krokwie przypominające żebra i myśli o Jonaszu, biblijnym bohaterze połkniętym przez wieloryba. Z tym że ten wieloryb jest pięciogwiazdkowy, pełen pięciogwiazdkowych mebli.

Jane rozpoznaje aktorkę na okładce leżącego przed nią na stoliku magazynu „How to Spend It”^{*}. Udaje, że czyta, rozglądając się dyskretnie – dostrzega kryształowy żyrandol na końcu pomieszczenia i słyszy, jak ładna pani siedząca za błyszczącym biurkiem mamrocze do słuchawki, że „Jane Reyes już tu jest”.

– Pani herbata. – Niespodziewanie wyrasta przy niej inna kobieta.

Jane zrywa się na równe nogi, a leżący na jej kolanach magazyn zsuwa się na podłogę. Kobieta stawia na stoliku filiżankę ze spodeczkiem i wycofuje się z uśmiechem.

– Panna Yu wkrótce po panią przyjdzie.

Czasopismo leży na podłodze – zajmując trzy panele – rozłożone na zdjęciu zegarka, jakiego Jane nigdy wcześniej nie widziała. Na środku tarczy widnieje kula ziemską z kontynentami koloru głębokiej zieleni i złota na tle kręgu błękitnej wody. Złote wskazówki, ustawione na godzinę dziesiątą dziesięć, ciągną się przez Amerykę Północną i krańce Azji. Kulę ziemską otaczają liczby od jednej do dwudziestu czterech, ustawione w idealnych odstępach od siebie, nad którymi widnieją nazwy dwudziestu czterech miast, takich jak Nowy Jork, Londyn, Hongkong, Paryż,

^{*} Dodatek do „Financial Times” poświęcony dobrom luksusowym.

lecz także miejsc, o których Jane nigdy nie słyszała: Dhaka, Midway, Azory, Karaczi.

Jane podnosi czasopismo z podłogi i czyta, że zegarek kosztuje ponad trzy miliony dolarów! Jest jedyny w swoim rodzaju, zabytkowy, ręcznie robiony, a mimo to nie mieści jej się w głowie, jak coś tak małego może być warte tyle pieniędzy ani że można czuć się komfortowo, nosząc taki zegarek.

Jane też kiedyś miała zegarek – może nie kosztował trzy miliony dolarów, ale był piękny, z tarczą w kształcie serca i bransoletką ze splecionych ze sobą srebrnych łańcuszków. Ate otrzymała go w prezencie pożegnalnym od jednej z byłych klientek i podarowała go Jane, gdy ta zgodziła się ją zastąpić u Carterów.

– Daję ci go w ramach podziękowania – powiedziała Ate, pomagając jej zapiąć bransoletkę. – I żebyś wiedziała, kiedy nakarmić dziecko.

Po tym jak Carterowie ją wyrzucili, Jane zwróciła Ate zegarek, zwieszając nisko głowę, żeby nie mogła zobaczyć jej łez. Zamiast ją zwymyślać, Ate powiedziała cichym głosem, który wydał się Jane gorszy od krzyku:

– Podaruję go kiedyś Mali. Może z okazji bierzmowania?

– Witaj, Jane. Dzięki, że przyjechałaś. Nazywam się Mae Yu. Panna Yu stoi za krzesłem Jane i wyciąga do niej rękę.

Jane podrywa się z miejsca.

– Jestem Jane. Jane Reyes.

Panna Yu przygląda jej się z życzliwym zainteresowaniem, ale nic nie mówi.

– Moja babcia też ma na nazwisko Yu – wypala Jane.

– Mój ojciec jest Chińczykiem, a mama Amerykanką. – Panna Yu daje Jane sygnał, żeby poszła za nią. – Zatem w nas obu płynie mieszana krew.

Jane spogląda na pannę Yu – wysoką, szczupłą i ubraną w granatową sukienkę, plisy spódnicy wirują jej wokół nóg, gdy

idzie przez pokój. Włosy koloru palonego miodu ma zaczesane w luźny kok, a gdy odwraca się z uśmiechem do Jane, ta zauważa, że skóra panny Yu jest jasna jak u białej kobiety i że na jej twarzy nie ma śladu makijażu.

W niczym nie są do siebie podobne.

Jane nagle zaczyna się czuć niekomfortowo w zbyt obcisłej i krótkiej spódnicy. Dlaczego nie posłuchała Ate, która radziła jej włożyć spodnie? Dlaczego pozwoliła się pomalować Angel?

Staje przed wiszącym na ścianie lustrem i zaczyna ścierać palcami róż z policzków.

– Jane! – woła do niej panna Yu. – Idziesz?

Jane opuszcza rękę, rumieni się i drobi małymi kroczkami w kierunku panny Yu w swoich przyciasnych butach i krótkiej sukience.

Idą korytarzem; po jednej stronie ciągną się wysokie aż do sufitu okna, zaś po drugiej – portrety ptaków.

– Podłogi na tym piętrze są oryginalne, pochodzą z 1857 roku. A te obrazy namalował sam Audubon – wyjaśnia, po czym wskazuje za okno. – Mamy ponad dwieście sześćdziesiąt akrów ziemi. Granice naszej posiadłości sięgają aż do bukowego zagajnika. A tamte wzgórza w dole to pasmo górskie Catskills.

Wchodzą do gabinetu panny Yu, którego wystrój – prosty i kosztowny – przypomina ją samą. Jane siada na krześle, czując, jak spódnica podjeżdża jej do góry o kolejne dwa centymetry, i dyskretnie ją poprawia.

– Herbaty? – pyta panna Yu, sięgając po stojący na niskim stoliku czajniczek.

Jane kręci głową. Boi się, że z tych nerwów mogłaby wylać herbatę na biały dywan.

– A ja się napiję. – Panna Yu nalewa herbatę lewą ręką. Na jej serdecznym palcu połyskuje pierścienek z ogromnym diamentem, jedyna biżuteria, jaką nosi. Uśmiecha się do Jane. – Jak ci minęły święta? Robiłaś coś ciekawego?

– Byłam w domu – bąka Jane. Razem z Amalią i Ate poszły na pasterkę, Angel ugotowała pancit, bistek* i leche flan**, a Amalia dostała prezenty prawie od wszystkich mieszkańców domu w Queens. Panny Yu na pewno by to nie zainteresowało.

– Tam dom twój, gdzie serce twoje – zauważa panna Yu. – A zatem, Jane, twoje wyniki badań są znakomite. Niełatwo pokonać dwa pierwsze etapy rekrutacji, a tobie się udało. Gratuluję.

– Dziękuję pani.

– Ta rozmowa ma nam pomóc trochę lepiej cię poznać. Chcemy się też pochwalić naszym wspaniałym ośrodkiem!

– Tak, proszę pani.

Panna Yu badawczo przygląda się twarzy Jane.

– Dłaczego chcesz zostać Żywicielką?

Jane myśli o Amalii i mamrocze w stronę złożonych na podłoku dłoni.

– Chcę pomagać ludziom.

– Przepraszam, czy możesz mówić trochę głośniej?

Jane unosi wzrok.

– Chcę pomagać ludziom, którzy nie mogą mieć dzieci.

Panna Yu notuje coś rysikiem w leżącym na jej kolanach tablecie.

– Poza tym potrzebuję pracy – wypala Jane. Ate ostrzegła ją, żeby tego nie mówiła, bo wyjdzie na zdesperowaną.

– To żaden powód do wstydu. Wszyscy musimy pracować na tych, których kochamy, prawda?

Jane ponownie wpatruje się w błyszczący diament na jej palcu, odznaczający się na tle ciemnej sukienki. Billy nie kupił Jane pierścionka. Po tym jak zaszła w ciążę i musieli szybko wziąć ślub, stwierdził, że nie miałoby to sensu.

– Poza tym masz świetne referencje. Latoya Washington...

– Moja była szefowa.

* Wołowina duszona w mieszance soku z cytryny, sosu sojowego, cebuli i czosnku.

** Deser na bazie kremu z masy jajecznej, przypominający w smaku crème brûlée.

– Wypowiada się o tobie w samych superlatywach. Uważa, że jesteś pracowita, uczciwa i cudownie sobie radzisz z pensjonariuszami. Było jej przykro, że się zwolniłaś.

– Panna Latoya bardzo dobrze mnie traktowała – mówi szybko Jane. – Zatrudniłam się u niej krótko po przyjeździe do Nowego Jorku. Była bardzo wyrozumiała, nawet wtedy gdy zasłałam w ciążę. Och! – Jane zasłania ręką usta.

– Właśnie o to chciałam cię zapytać. O dziecko.

Ate kazała Jane nie wspominać o Amalii, bo po co mieliby zatrudniać kogoś, kto zawsze będzie myślał przede wszystkim o własnym dziecku?

– Nasze Żywicielki mogą mieć dzieci. Nie jest to żaden problem, pod warunkiem że pomiędzy porodem a implementacją zarodka upłynie odpowiednio długi czas. Poza tym dobrze wie-dzieć, że donosiłaś już jedną ciążę. – Panna Yu się uśmiecha. – Ile ma twoje dziecko?

– Sześć miesięcy – szepcze Jane.

– Uroczy wiek! Moja chrześnica jest tylko parę miesięcy starsza – szczebiocze panna Yu. Dziewczynka mieszka na Manhattanie i chodzi na zajęcia muzyczne prowadzone po chińsku. Jej ojciec jest Francuzem i razem z przyjaciółką panny Yu planuje wychowywać córkę trójjęzycznie. – Jak ma na imię twoje dziecko?

– Amalia.

– Ślicznie. Czy to filipińska wersja Amelii?

– Nazwałam ją tak na cześć mojej babci.

Panna Yu notuje coś w tablecie.

– Jane, w przypadku Żywicierek, które mają własne dzieci, martwi nas tylko jedno: stres. Istnieje mnóstwo badań świadczących o tym, że dzieci, które przed urodzeniem były narażone na nadmierną ilość kortyzolu, hormonu uwalnianego w organizmie podczas silnie stresujących sytuacji, są bardziej narażone na stany lękowe w późniejszym życiu.

– Ja się nie stresuję, proszę pani – oświadcza szybko Jane.

– Musielibyśmy mieć pewność, że Amalia jest pod dobrą opieką i że nie będziesz się o nią martwić, przebywając z nami w Żłocistych Dębach. Co zamierzasz z nią zrobić, gdybyśmy wybrały cię na Żywicielkę?

Jane opowiada pannie Yu o bezprowizyjnej kawalerce przy Rego Park. Wynajmie ją razem z Ate, której będzie płaciła za opiekę nad Amalią.

– Doskonale. Kolejną rzeczą, o którą byśmy cię poprosili, jest opłacenie wynajmu mieszkania na czas, który z nami spędzisz. Ma to służyć ograniczeniu stresu podczas ciąży. Jeśli zostaniesz wybrana na Żywicielkę, będziesz u nas mieszkać od momentu zapłodnienia przez całą ciążę, co oznacza mniej więcej dziesięć miesięcy opłat za wynajem – tłumaczy panna Yu. – Wiele z naszych Żywielek bierze zaliczkę na poczet przyszłego wynagrodzenia, żeby opłacić mieszkanie i kogoś do opieki nad dzieckiem lub starszym krewnym pod ich nieobecność...

– Mam oszczędności – Jane stara się, żeby nie zabrzmiało to chępliwie.

– A co sądzi o tym wszystkim twój mąż?

Jane czuje na sobie spojrzenie panny Yu i zaczyna jej się robić gorąco.

– Billy? On... nie jesteśmy już razem.

– Przepraszam, że zadaję ci takie osobiste pytania. Próbuję tylko namierzyć potencjalne źródła stresu, który chcielibyśmy ci pomóc zwalczyć.

– On nie jest dla mnie źródłem stresu. Ani niczego innego.

– Masz chłopaka?

– Nie! – oburza się Jane. – Nie miałabym czasu... Mam Amalię...

– A jak się czujesz z tym, że zostawisz Amalię na czas swojego pobytu tutaj? – Panna Yu świdruje Jane wzrokiem. – Nie będziesz jej widziała bardzo długo, chyba że Klienci zezwolą na odwiedziny, czego nie mogę ci zagwarantować.

Jane czuje w piersi ukłucie ostre jak nóż, ale zmusza się do tego, by spojrzeć pannie Yu prosto w oczy. Ate każe jej myśleć

przede wszystkim o Amalii i właśnie to stara się zrobić w tym momencie Jane.

– Moja kuzynka zawodowo opiekuje się niemowlętami – mówi. Panna Yu coś sobie notuje.

– W takim razie twoja córka będzie w dobrych rękach. Masz szczęście. Niektóre z naszych Żywicielek zostawiły dzieci w swoich ojczystych krajach i w ogóle nie mają z nimi kontaktu.

Wstaje i otwiera drzwi gabinetu.

– A teraz czas na przyjemniejszą część naszego spotkania, czyli wycieczkę!

– Wycieczkę – powtarza za nią Jane, myśląc z niepokojem o swoich butach.

– Tak! To miejsce będzie twoim domem przez prawie rok. Powinnaś wiedzieć, na co się decydujesz. Poza tym szczęśliwa Żywicielka to najlepsza Żywicielka – zauważa panna Yu. – Idziemy?

Skręcają w kolejny korytarz, który łączy stary budynek z nowym, częściowo ukrytym za wysokim żywopłotem. Panna Yu przemieszcza się bezszelestnie w butach na płaskim obcasie, a Jane podąża za nią, głośno stukając obcasami.

– Nazywamy to miejsce sypialnią. Właśnie tu będziesz spędzać najwięcej czasu – wyjaśnia panna Yu.

Przykłada identyfikator do czytnika, żeby otworzyć kolejne drzwi. Wchodzą do przestronnego pomieszczenia ze świetlikami wbudowanymi w wysoki sufit z jasnego drewna. Panna Yu wita się z recepcjonistką i skręca w wyłożony dywanem korytarz. Na drzwiach każdego pokoju wisi drewniana tabliczka. Mijają sypialnie o nazwie Buk i Klon, po czym wchodzą do Sosny.

Pokój jest przestronny. Mieszczą się w nim dwa łóżka, każde wsparte na czterech kolumnach, przykryte grubymi białymi narzutami, duże kwadratowe okno z widokiem na wzgórze, a na ścianach wiszą oprawione w ramki zdjęcia przyprószonych śniegiem sosen. Jest też wejście do sporej łazienki.

– Mam nadzieję, że zgodzisz się dzielić pokój z drugą Żywicielką – odzywa się panna Yu.

– Jest piękny – zachwyca się Jane. W pokoju tej wielkości mogłoby spać ze dwanaście osób.

Następnie panna Yu pokazuje Jane laboratorium do pobierania i badania krwi, gabinety do przeprowadzania cotygodniowych badań kontrolnych i USG, salę wykładową, w której Żywicielki zdobywają wiedzę przydatną w czasie ciąży, oraz bibliotekę, gdzie jakaś Żywicielka z wielkim brzuchem odpoczywa na skórzanym fotelu, opierając spuchnięte stopy o podnózek. Jane patrzy na nią, chociaż wie, że to niegrzeczne. Odwraca wzrok dopiero wtedy, gdy ta odwzajemnia jej spojrzenie.

– Pokój ćwiczeń – oznajmia panna Yu u podnóża niskich schodów i otwiera drzwi przed Jane. – Codzienna gimnastyka jest obowiązkowa ze względu na zdrowie Żywicieli i noszonych przez nie dzieci. Kiedy wrócisz do Amalii, będziesz w świetnej formie!

Lustra zajmują trzy ściany siłowni. Sprzęt do ćwiczeń zwrócony jest w stronę czwartej. Obok półki z ciężarkami stoi wielki kosz pełen kolorowych, zwiniętych w rulon mat do jogi. Na długim szklanym stole przy drzwiach leżą sterty poskładanych ręczników, porcelanowa misa wypełniona owocami oraz dzbanek wody z plasterkami cytryny i ogórka. Na ruchomych bieżniach ćwiczą dwie Żywicielki z czerwonymi ciężarkami w dłoniach.

– Mario, Taniko, poznajcie Jane.

Po krótkim powitaniu Żywicielki wlepiają wzrok w wiszące na ścianie płaskie telewizory. Jane zerka na nie, gdy panna Yu opisuje jej codzienny plan ćwiczeń. Później przechodzą do jadalni wypełnionej białymi stołami w różnych kształtach i krzesłami od kompletu, przykrytymi poduszkami w jaskrawych kolorach. Na środku pomieszczenia wisi ogromny żyrandol z różnokolorowych zaokrąglonych szkielek. Za przeszkloną ścianą na tyłach jadalni Jane zauważa stadko puchatych zwierząt skubiących trawę.

– Jak się nazywają? – pyta Jane, szukając w plecaku aparatu. – Spodobałyby się Amalii.

– To alpaki – odpowiada radośnie panna Yu, kładąc jej rękę na ramieniu. – Przykro mi, żadnych zdjęć. Zresztą i tak blokujemy sygnały GSM i wi-fi, więc nie mogłabyś ich wysłać.

Jane przez chwilę obserwuje zwierzęta z sercem wypełnionym nadzieją.

– Czy znasz kogoś, kto choruje na raka? – pyta niespodziewanie panna Yu, prowadząc Jane w kierunku środka sali.

– Owszem – mówi Jane, myśląc o Verze, która wynajmuje łóżko na drugim piętrze domu w Queens.

Jej córka Princessa w wieku zaledwie trzydziestu dwóch lat wykryła w lewej piersi guzek wielkości winogrona, który w ciągu czterech miesięcy osiągnął rozmiar dziecięcej pięści. Dzięki pomocy brata zatrudnionego w amerykańskim konsulacie w Manili Vera załatwiła córce wizę turystyczną i teraz Princessa śpi na dolnej pryczy jej piętrowego łóżka. Co wieczór dzwoni przez Skype’a do swojego chłopaka, który został w domu, i skarży mu się na długie kolejki w Elmhurst Hospital, gdzie jest leczona za darmo. Jej tagalski naszpikowany jest amerykańskimi nazwami leków na raka i tytułami programów telewizyjnych.

Panna Yu wskazuje na Żywicielkę z błyszczącymi czarnymi włosami, która siedzi samotnie przy stoliku i popija przez słomkę zielony koktajl.

– Tamta Żywicielka nosi w łonie dziecko dyrektor zarządzającej firmą biotechnologiczną, która odkryła metodę wykrywania komórek rakowych za pomocą nanocząsteczek. – Panna Yu spogląda na Jane. – Właśnie takim ludziom pomagamy w Złocistych Dębach. Ludziom, którzy zmieniają świat.

Jane jest pod wrażeniem, ale nie wie, czym dokładnie są nanocząsteczki, i boi się, że panna Yu ją o to zapyta. Wyobraża sobie zastrzyk pełen świecących drobinek wstrzykiwany w ramię Princessy, promieniowanie płynące przez jej żyły niczym samochody pędzące ciemną autostradą, żyły fosforyzujące na tle jej ciemnej skóry.

– A Żywicielka, którą poznasz w czasie lunchu, nosi pod sercem dziecko jednego z największych filantropów w Teksasie. – Panna

Yu wspina się razem z Jane po schodach prowadzących do prywatnej jadalni.

– Żywielielka? – pyta niepewnie Jane. Czy to kolejny test? Może chcą sprawdzić, czy potrafi się dogadać z innymi kobietami?

– Tak! Jak już wcześniej mówiłam, chcemy, żebyś dobrze zrozumiała, na co się piszesz. Bo gdy zostaniesz zapłodniona, kiedy w twojej macicy zacznie się rozwijać człowiek, przestanie chodzić wyłącznie o ciebie. Nie będzie już odwrotu. – Panna Yu wskazuje Jane krzesło.

Na stole pojawiają się trzy porcje sałatki posypanej ziarnami granatu i prażonymi orzechami włoskimi. Panna Yu kładzie sobie na kolanach serwetkę.

– Zatrudniamy własnego szefa kuchni i dietetyka, więc jedzenie jest nie tylko pyszne, lecz także bardzo zdrowe. To jedna z dodatkowych korzyści pracy w tym miejscu.

Drzwi się otwierają.

– Przepraszam za spóźnienie – odzywa się młoda kobieta, niska i ciemnoskóra. Czarne włosy ma związane w koński ogon, a podkoszulek tak opięty, że widać pod nim wypukły kształt pępka, przypominający robaka.

– Jane, to jest Alma. Almo, poznaj Jane. Alma jest w dwudziestym czwartym tygodniu...

– Dwudziestym piątym, panno Yu – poprawia ją Alma, uśmiechając się do Jane, i siada na krześle.

– Dwudziestym piątym tygodniu ciąży dla jednego z naszych najlepszych Klientów. Podpisali z nami umowę na urodzenie trojga dzieci w ciągu trzech lat. Alma urodziła pierwsze, a teraz jest w ciąży z trzecim.

Jane nie przepada za szpinakiem, ale zmusza się do jedzenia. Ma wrażenie, że przeżuwa zapiaszczone liście przez całą wieczność. Żadna z kobiet się nie odzywa. Cisza jest nie do przyjęcia, oznacza, że Jane sobie nie radzi.

– Sympatyczne te alpaki... – wyrzuca z siebie.

– Jak się czujesz, Almo? – odzywa się dokładnie w tym samym momencie panna Yu. – Wybacz, że ci przerwałam, Jane. Co mówiłaś?

Jane kręci głową, rumieniąc się.

– Dobrze, panno Yu. Czuję się dobrze. Dziecko kopie – odpowiada Alma.

– Cieszymy się, że wracają do nas nie tylko Klienci, lecz także Żywicielki. Alma zdecydowała się dla nas urodzić kolejne dziecko, co świadczy o tym, jak dobrze jej się tu pracuje – stwierdza panna Yu. – Almo, może opowiesz Jane, jak wygląda typowy dzień w Złocistych Dębach?

Jane rozluźnia się, gdy Alma opisuje harmonogram dnia – posiłki, medytacja, ćwiczenia, kontrole lekarskie, zajęcia dla ciężarnych – i kończy słowami:

– Tu jest naprawdę miło. Dom jest piękny. Lekarze dobrze nas traktują. Ludzie są życzliwi.

– Almo, powiedz jeszcze, na co przeznaczasz zarobione pieniądze.

– Wysłałam je ojcu do Meksyku. Jest trochę chory. Jego serce nie pracuje jak należy. A część pieniędzy przekazuję mężowi i synowi, który ma na imię Carlos.

– Opowiedz Jane o Carlosie – ponagla ją panna Yu.

– Carlos ma osiem lat i... *cómo se dice dislexia*?

– Tak samo, dysleksja.

– *Dislexia, sí*. Dzięki zarobionym tu pieniądzom możemy opłacić nauczyciela, który pomaga Carlosowi – kończy Alma, nabierając na widelec porcję sałatki. – Carlos radzi sobie coraz lepiej!

Panna Yu zwraca się do Jane:

– Oczywiście płacimy dużo więcej niż za opiekę nad dziećmi, osobami starszymi czy nawet niemowlętami. Nasi Klienci chcą, żeby Żywicielki były dobrze traktowane. Wiem jednak, że pieniądze nie są wystarczającą motywacją, żeby podjąć się tej pracy. Trzeba mieć jeszcze odpowiedni charakter i powołanie.

– Mam je – mówi Jane, myśląc o Amalii i wszystkich rzeczach, które będzie jej mogła zapewnić i przed którymi będzie ją mogła ochronić, jeśli tylko dostanie tę pracę. – Mam powołanie.

– Poproszę prawy nadgarstek. Podwiń rękaw – wydaje polecenia Koordynatorka.

To pierwszy dzień Jane w pracy. Od rozmowy w Złocistych Dębach minęło raptem sześć tygodni, ale przez ten czas wszystko się zmieniło. Jane nosi w sobie cudze dziecko i znalazła się sto sześćdziesiąt kilometrów od Amalii, w otoczeniu nieznajomych. Uśmiechnięta kobieta, która powitała ją rano w hallu sypialni, zabrała nie tylko jej walizkę, lecz także portfel i komórkę, więc Jane kompletnie straciła poczucie czasu. Nie ma pojęcia, czy spędziła w Złocistych Dębach godzinę czy siedem godzin.

Jane podwija rękaw i wyciąga rękę, zastanawiając się, czy dostanie kolejny zastrzyk, a jeśli tak, to po co, skoro jest już w ciąży.

Koordynatorka zapina jej na nadgarstku opaskę, która wygląda na gumową, a gdy wciska guzik, włącza się cienki prostokątny wyświetlacz.

– To jest WellBand, model dostosowany specjalnie do naszych potrzeb. Dałam ci czerwony, ponieważ niedawno były walentynki!

Jane wpatruje się w opaskę. Pani Carter nosiła coś podobnego: przypominające dziecięcą zabawkę kółko z niebieskiego plastiku, które dziwnie wyglądało w zestawieniu z wysadzaną diamentami bransoletką i lśniącymi owalami jej paznokci.

– Monitoruje twój poziom aktywności. Spróbuj podskoczyć.

Jane zaczyna skakać.

– Widzisz? – Koordynatorka pokazuje jej wyświetlacz opaski. Zielone zera wypełniające ekran zamieniają się w pomarańczowe cyferki, które stale rosną, gdy Jane podskakuje, powoli tracąc oddech. – Możesz przestać – odzywa się życzliwie. Bierze Jane za nadgarstek, przykłada bransoletkę do połączonego z laptopem czytnika i przytrzymuje, dopóki nie rozlegnie się

piknięcie. – Gotowe. Jesteś teraz zsynchronizowana z Zespołem Zarządzania Danymi. Założmy, że twoje tętno gwałtownie wzrośnie, czasami tak się zdarza, zwykle to nic poważnego, ale może też oznaczać nieprawidłowości w pracy serca, zbytne obciążenie organizmu w związku z ciążą. – Koordynatorka, Carla?, przerywa na moment, żeby Jane mogła przyswoić to, co właśnie usłyszała. – Będziemy o tym wiedzieć od razu i wyślemy cię do pielęgniarki. A jeśli nie będziesz wystarczająco dużo ćwiczyć, naślemy na ciebie Hannę – dodaje z szerokim uśmiechem, a w jej piegowatych policzkach tworzą się dołeczki. Jane nie widziała u nikogo aż tylu piegów, pieg na piegu i piegiem pogania.

– Hannę?

– To nasza Koordynatorka Wellness. Będziecie się miały okazję bardzo blisko poznać. – Carla mruga porozumiewawczo do Jane, po czym omawia wszystkie funkcje WellBand: monitorowanie organizmu, zegar, budzik, drzemka, sygnał alarmowy, lokalizator GPS, kalendarz, powiadomienia, odbieranie wiadomości. – Jak ci się podobają ubrania? – Omiata ją spojrzeniem z góry na dół i z powrotem.

Jane zaczyna się robić gorąco. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie miała na sobie niczego tak miękkiego i delikatnego. Rano przemarzła do szpiku kości w swoim starym zimowym płaszczu. Czekwały razem z Ate i Amalią na ulicy przed nowym mieszkaniem na samochód, który miał przyjechać po Jane. Amalia była schowana pod tyłoma warstwami wełny i filcu, że Jane ledwie widziała spod nich jej twarzyczkę. A tymczasem w Złocistych Dębach Jane jest ciepło, chociaż ma na sobie ubrania lekkie jak powietrze. Mówi o tym Carli.

– Kaszmir – kwituje krótko Koordynatorka. – Tutaj na niczym się nie oszczędza.

Ktoś puka w otwarte drzwi.

– Cześć, Jane – mówi śpiewnie panna Yu, przytulając ją sztywno.

– Dzień dobry, panno Yu. – Jane zrywa się z miejsca.

– Nie wstawaj. Chciałam tylko sprawdzić, czy już się zadomowiłaś. – Panna Yu siada na ławce obok niej. – Jak twoje poranne mdłości? Podoba ci się pokój? Zdążyłaś już poznać Reagan?

– Czuję się dobrze, jestem tylko trochę zmęczona – odpowiada Jane. – Pokój jest piękny. Podobnie jak ubrania. – Gładzi ręką udo okryte kaszmirem. – Nie zdążyłam jeszcze poznać swojej współlokatorki.

Panna Yu lekko marszczy brwi.

– Ale – dodaje szybko Jane, nie chcąc, żeby tamta dziewczyna miała przez nią kłopoty – przeszedłam już badania kontrolne i wprowadzenie. To był pracowity ranek.

Panna Yu się rozluźnia i kładzie rękę na dłoni Jane.

– Reagan pewnie miała jakieś zajęcia. Wkrótce się poznacie. To twój nowy dom, chcemy, żebyś czuła się w nim jak u siebie.

Na dźwięk słowa „dom” Jane ściska w gardle. Zastanawia się, co w tym momencie robi Amalia i czy już zauważyła, że nie ma przy niej mamy.

Jakby czytając w jej myślach, panna Yu pyta:

– Jak się miewa Amalia? Ciężko było się wam rozstać?

Jane przepełnia wdzięczność wobec panny Yu, która – chociaż tak zajęta – zapamiętała imię jej córki. Przenosi wzrok na ścianę, żeby panna Yu nie zauważyła w jej oczach łez.

– Było całkiem w porządku. Amalia ma już prawie siedem miesięcy, jest dużą dziewczynką. Poza tym jest przy niej moja kuzynka.

– Zostawiłaś córkę w dobrych rękach – stwierdza życzliwie panna Yu.

Jane woli jeszcze na nią nie patrzeć. Słyszy, jak Carla stuka palcami w klawiaturę.

– Znasz naszą politykę, Jane, i wiesz, że nie wpuszczamy na teren ośrodka żadnych gości. Nie pozwalamy go też opuszczać Żywieliom, chyba że na prośbę Klientów. – Panna Yu zniża głos do szeptu. – Ale myślę, że zdołam ich przekonać, by pozwolili Amalii cię odwiedzić.

– Naprawdę? – pyta z niedowierzaniem Jane.

Panna Yu z uśmiechem przykłada palec do ust. Pyta Jane, czy jest gotowa na lunch, a gdy ta przyznaje, że rano była zbyt zdenerwowana, by cokolwiek zjeść, prowadzi ją do jadalni. Jane idzie parę kroków za nią, przebijając palcami stóp w swoich nowych, wyłożonych futerkiem mokasynach, i powoli zaczyna się cieszyć dobrobytem. Panna Yu nie przestaje trajkotać, pokazuje Jane przez okno swoje ulubione górskie widoki i dzieli się z nią ciekawostkami na temat pobliskich miasteczek. Gdy tak idą, Jane wyobraża sobie Amalię chowającą się pod tutejszymi miękkimi kocami rozłożonymi na kanapach i oczarowaną płomieniami trzaskającymi w kamiennym kominku.

– Myślisz, że będziesz tu się czuła jak w domu? – pyta panna Yu, popychając ramieniem drzwi prowadzące do jadalni.

– O tak – odpowiada z przekonaniem Jane.

Przed okienkiem do wydawania posiłków utworzyła się krótka kolejka. Panna Yu przedstawia Jane dwóm białym Żywiicielkom: wysokiej, szczupłej i lekko zgarbionej Kasi oraz niższej i pulchniejszej Ani – i odchodzi, żeby przygotować się do jakiegoś spotkania. Kiedy Jane zostaje sama, znowu zaczyna się denerwować. Kolejka przesuwana się szybko, lecz kiedy Jane dociera do bufetu, nie potrafi wybrać pomiędzy befsztykiem z polędwicy a łososiem, wodą a napojem z granatu, musi też poczekać kilka minut na uzupełnienie zapasu multiwitamin w podajniku. Gdy wreszcie jest gotowa, Kasia i Ania siedzą już przy stole po przeciwnej stronie sali. Jane bierze tacę i chce do nich podejść, ale ma wrażenie, że podeszwy jej mokasynów przyrosły do podłogi. Jadalnia jest pełna. Przy stoliku po lewej siedzą czarnoskóre Żywiicielki, zaś po prawej – cztery kobiety o nieco jaśniejszej, brązowej skórze. W pobliżu wyjścia ewakuacyjnego Jane dostrzega grupkę kobiet, które wyglądają, jakby pochodziły z Filipin.

– Chodź do nas, Jane – przywołuje ją gestem Kasia.

– Wiesz, czyje nosisz dziecko? – pyta Ania, jeszcze zanim Jane zdąży usiąść. Mówi po angielsku z wyraźnym akcentem. Ma

błękitne, głęboko osadzone oczy jak Kasia, ale jej twarz wydaje się chudsza; może po prostu nie jest w tak zaawansowanej ciąży.

Ania wsuwa do ust kęs łososia. Na widok ryby, różowej i wilgotnej, Jane zbiera się na wymioty.

– Niedobrze ci? – pyta Kasia.

– Nie, po prostu... – Jane czuje podchodzącą do gardła żółć i łapie się za brzuch, modląc się, by nie zwymiotować na oczach tych wszystkich kobiet.

– Też to mam – skarży się Ania z ustami pełnymi ryby. – Wymiotuję codziennie, ale nigdy rano. Za to przez resztę dnia już tak!

Kasia wyciąga papierową torebkę z leżącego na końcu stołu podajnika z polerowanej stali i podaje ją Jane.

– To na wymioty. Nie przejmuj się, Jane, pierwszy trymestr jest zawsze najtrudniejszy – dodaje pocieszająco.

Jane odsuwa od siebie tacę i przyciska głowę do chłodnej powierzchni stołu. Przy Amalii też miała poranne mdłości, ale wtedy było inaczej, nie tak strasznie. Być może dlatego że dziecko, które nosi w brzuchu, nie należy do niej, tylko do osoby wynajdującej lekarstwa na raka albo wydającej więcej pieniędzy, niż Jane zobaczy przez całe swoje życie.

Ania i Kasia nic nie mówią, słysząc tylko dźwięk stukania ich noży o talerze. Rozmowy przy pozostałych stolikach zamieniają się w niezrozumiały szum.

– Lisa robi się coraz grubsza. – Głos Ani przedziera się nagle przez panujący w jadalni gwar.

Spoglądają z Kasią na siedzące parę stolików dalej Amerykanki. Jedna z nich, w bardziej zaawansowanej ciąży, jest zadziwiająco piękna, jak jedna z tych aktorek, które widuje się na okładkach kolorowych czasopism.

– To dlatego, że odpuszcza sobie gimnastykę – stwierdza chłodno Kasia. – Nie przychodzi na zajęcia już od dwóch tygodni. Hanna nie donosi na nią tylko dlatego, że Lisa to jej ulubienica.

– Powinnaś o tym powiedzieć pannie Yu, mówię ci – stwierdza Ania, kręcąc głową, po czym zwraca się do Jane: – Nie poznałaś jeszcze swoich Klientów?

– Nie – odpowiada Jane wciąż pochylona nad stolikiem. Widzi, jak Kasia posyła Ani porozumiewawcze spojrzenie. – Czy to źle?

– Nie, nie. Niektórzy Klienci są po prostu zbyt zajęci. Albo wolą poczekać do drugiego trymestru, kiedy spada ryzyko poronienia.

Na wzmiankę o poronieniu Jane przewraca się w żołądku. Stara się myśleć pozytywnie, tak jak to zalecają w materiałach, ale nadal się martwi. Opłata za żłobek Amalii jest bezzwrotna. Jane nie bardzo się orientuje, jak wygląda sprawa z czynszem za mieszkanie.

– Co się dzieje w przypadku poronienia? – pyta. – Wiem, że opuszcza się Złociste Dęby... ale co dokładnie dzieje się z pieniędzmi?

– Nie czytałaś papierów przed ich podpisaniem? – fuka na nią Ania.

Przez półtora miesiąca, które upłynęło od momentu jej przyjęcia do Złocistych Dębów, Jane była zajęta przeprowadzką do nowego mieszkania, szukaniem odpowiedniego żłobka dla Amalii i zachodzeniem w ciążę. Ate zaproponowała, że przeczyta za nią dokumenty przysłane w dużej kopercie FedExu z napisem POUFNE, a Jane skwapliwie się na to zgodziła. Złożyła swój podpis w miejscach wskazanych przez Ate.

– Co miesiąc wypłacają ci trochę pieniędzy – wyjaśnia Kasia – ale bonus, ta duża kwota, którą obiecała ci panna Yu, należy się dopiero po porodzie. Rozumiesz?

Jane pamięta, jak Ate jej o tym mówiła. Siedziały wtedy przy blacie w nowej kuchni Jane. W pomieszczeniu unosił się zapach świeżej farby, więc uchyliły okna pomimo panującego na dworze zimna. Ate opowiedziała Jane o obowiązującym w Złocistych Dębach zakazie używania komórek i pisania maili, klauzuli

poufności, harmonogramie wypłat i przelewach na konto. W całym tym natłoku informacji Jane nawet się nie zastanowiła nad pytaniami, od których teraz pękała jej głowa:

Co się stanie, jeśli poronienie nastąpi niezależnie od niej?

Czy będzie miała szansę znowu zajść w ciążę?

A jeśli dziecko umrze tuż po urodzeniu? Czy będzie mogła zatrzymać pieniądze?

Jane otwiera usta, ale słowa więzną jej w gardle.

– Idzie Reagan – odzywa się Ania.

W stronę ich stolika zbliża się jedna z Amerykanek, ta chudsza. Ma wielkie oczy, szare niczym pochmurny dzień, i długie włosy zaplecione w luźny warkocz.

– Cześć, Jane, jestem Reagan. Będziemy mieszkać razem. Całkiem wyleciało mi z głowy, że dzisiaj przyjeżdżasz. Ach, ten ciężowy mózg!

Kasia gwałtownie wstaje od stołu.

– Siadaj, ja już skończyłam. Poza tym jestem umówiona z panną Yu.

Ania również się podnosi. Obie życzą Jane szczęścia i odchodzą z pustymi tacami. Kasia jest wyższa od swojej przyjaciółki o kilkanaście centymetrów. Po odejściu paru metrów obie zanoszą się piskliwym śmiechem.

– Jak się trzymasz? – pyta Reagan, zajmując krzesło Kasi, i podwija nogi pod siebie.

Jane jest onieśmielona. Nie mogła przestać myśleć o swojej współlokatorce, odkąd trzy dni temu dostała w mailu jej krótki opis. Przeczytała go tyle razy, że wyryl jej się w pamięci:

Twoja współlokatorka Reagan ukończyła z wyróżnieniem komparatystykę literacką oraz historię sztuki na Uniwersytecie Duke'a. Wychowała się w Highland Park, w stanie Illinois, a obecnie mieszka w Nowym Jorku. Jest Żywicielką po raz pierwszy.

Jeszcze zanim Jane wyszukała w internecie „Highland Park”, „Uniwersytet Duke’a” i „komparatystykę literacką”, wiedziała, że nic ją nie łączy z tą dziewczyną. Patrząc na nią, wie, że się nie pomyliła.

– W porządku – mamrocze po chwili krępującej ciszy. Po raz setny zastanawia się, jak brzmiał jej trzyzdaniowy opis i co po jego przeczytaniu pomyślała sobie Reagan.

Dziewczyna podważa paznokciem zaschniętą kropelkę musztardy na blacie. Ate poradziła Jane, żeby zachowywała się uprzejmie wobec innych Żywicieli, ale trzymała się od nich na dystans, ponieważ żadna z kobiet przebywających w Złocistych Dębach nie jest jej przyjaciółką. Mogą być wyłącznie koleżankami, ponieważ donoszenie dziecka jest ich pracą. Jane usiłuje wymyślić jakieś pytanie, które mogłaby zadać swojej nowej współlokatorce, gdy nagle kątem oka zauważa cienką złotą bransoletkę na jej nadgarstku.

Widok bransoletki ją poraża. Czym mogłaby zainteresować Reagan, która ukończyła studia na dwóch kierunkach i nosiła cenną bransoletkę z tak wielką swobodą?

– Na początku możesz się czuć trochę dziwnie – odzywa się Reagan najwyraźniej niezrażona milczeniem Jane. Zaczyna dawać Jane wskazówki na temat pobytu w Złocistych Dębach – „korzystając z mojego ogromniastego dwutygodniowego doświadczenia!” – że najlepiej jest przychodzić do pokoju telewizyjnego w porze kolacji, bo wtedy nie ma tłoku, chodzić okrężną drogą do sali fitness, by omijać gabinet Hanny – w przeciwnym razie może do siebie wezwać i zacząć wypytywać o dietę, że pomiędzy posiłkami i wieczorami wystawiany jest stół z przekąskami – takimi jak owoce, batoniki energetyczne, kawałki warzyw ze zdrowymi sosami, herbatki ziołowe, orzechy, koktajle – i że dopóki Jane nie przekroczy zalecanej wagi, może podjadać do woli, więc nie musi się przejmować brakiem apetytu podczas posiłków.

Jane słucha bez słowa spanikowana, ponieważ wciąż nie potrafi wymyślić niczego, co sama mogłaby jej powiedzieć.

– Lisa! Chodź do nas! – Reagan przywołuje śliczną Amerykankę z ciemnymi włosami i zielonymi oczami.

Jej przyjaciółka rozmawia z ożywieniem z jedną z kucharek, po czym bierze coś ze stojącej niedaleko okienka do wydawania posiłków patery i podchodzi do ich stołu, wściekle mamrocząc.

– Wbrew temu, co twierdzi Betsy, babeczka z otrębami to coś innego niż chlebek bananowy. – Wlepia wzrok w Jane, jakby czekając na odpowiedź.

– Tak? – pyta niepewnie Jane.

Reagan się śmieje.

– Jane, poznaj Lisę. Nie zwracaj na nią uwagi.

– A najbardziej główniane w tym wszystkim jest to – kontynuuje Lisa, w dalszym ciągu zwracając się do Jane – że wszystkie tu jesteśmy w ciąży i mamy zachcianki, które powinny być spełniane, skoro w gruncie rzeczy są one zachciankami dziecka. A przecież to właśnie nad nimi wszyscy się trzęsą...

Jane rozgląda się nerwowo. Jedna z Koordynatorek stoi przy drzwiach i wystukuje coś na tablecie.

– Umysł ważniejszy niż materia – odzywa się Reagan. – Twoje zachcianki są podyktowane wyłącznie hormonami.

– Przecież hormony to ja – marudzi Lisa, siadając ciężko na krześle, i niepewnie odgryza kęs babeczki, po czym burczy pod nosem, że nie cierpi rodzynek.

– Jane jest moją nową współlokatorką. To jej pierwszy dzień tutaj.

– Witaj na Farmie – odzywa się sucho Lisa.

Uśmiech zamiera Jane na ustach.

– Cholera, każda komórka w moim ciele domaga się chlebka bananowego! – Lisa ciska babeczką o stół.

– Może... mogłabym ci upiec chlebek bananowy? – proponuje nieśmiało Jane, przyglądając się skrzywionej twarzy Lisy z mieszaniną podenerwowania i fascynacji.

Lisa wybucha śmiechem.

– Nigdy by cię nie dopuścili do piekarnika. Mogłabyś... osmalić płód! Wiesz już, czyje dziecko nosisz? – pyta łagodniejszym tonem.

Jane kręci głową, a Lisa odzywa się głośnym szeptem wymierzonym w Reagan:

– To tak jak ona.

Reagan wzdycha.

– To nie jest ważne!

– Oczywiście, że jest! – denerwuje się Lisa.

– Dlaczego wszyscy o to pytają? – dziwi się Jane. – Na przykład Ania, ta Rosjanka...

– Polka – przerywa jej Lisa. – Nie nazywaj jej Rosjanką, bo zarobisz kosę.

Jane nie wie, czy powinna się uśmiechnąć.

– Ania też mnie o to zapytała. Więcej niż jeden raz.

– Naprawdę? – dziwi się Lisa. – A więc Ania próbowała od ciebie wydobyć informacje. A to ciekawe.

– Lisa pracuje w Złocistych Dębach od samego początku – wtrąca Reagan, wyraźnie usiłując zmienić temat. – To już jej trzecie dziecko.

– I robię to wyłącznie dla pieniędzy. – Twarz Lisy rozjaśnia szeroki uśmiech. – Straciłam już złudzenia co do uroków bycia w ciąży, w przeciwieństwie do mojej przyjaciółki Reagan...

Reagan przewraca oczami.

– Która wciąż uważa, że kryje się za tym głębszy sens.

Jane nie jest przyzwyczajona do takich rozmów, używanych przez te kobiety słów i szybkości, z jaką je z siebie wyrzucają. Czuje się jak pod ostrzałem.

– Ofiarowanie komuś życia jest czymś niewiarygodnym – dodaje Reagan.

– Tak, ale nie wszystkie się tym zajmujemy – zauważa Lisa. – Okazuje się, że moja Klientka mogłaby rodzić dzieci, gdyby tylko chciała.

– Ale mnóstwo Klientek nie może – zwraca się Reagan do Jane. – Wiele z nich jest bezpłodnych z powodu wieku albo niezdolnych...

– Wszystkim Klientkom zależy na tym, żeby ich dzieci miały przewagę już na starcie. – Lisa patrzy na Jane, ale Jane czuje, że adresatką jej słów tak naprawdę jest Reagan. – Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Farma próbowała podrasować mózgi naszych płodów albo ich odporność czy...

– To przecież niemożliwe! – Nie wytrzymałe Reagan.
– Ale gdy już będzie możliwe, czy naprawdę sądzisz, że...
– Wystarczy.
– Nasi Klienci nie zapłacą żadnych pieniędzy za to, by ich *über*-dzieci...

Jane przewraca się w żołądku. Pochyliła się do przodu, licząc na to, że odpędzi w ten sposób mdłości.

– Usiądź prosto, Jane.

Jane jest tak zaskoczona, że wykonuje polecenie bez słowa sprzeciwu.

– Po pierwsze – mówi Lisa – nie kładź się na stole, jeśli nie chcesz mieć na karku Koordynatorki. Po drugie, i najważniejsze, musisz zrozumieć, czym jest to miejsce, okej? To jest fabryka, a ty jesteś towarem. Musisz przekonać do siebie Klientów, nie Koordynatorki ani nie pannę Mae. Mam na myśli rodziców, w szczególności matkę.

– Liso – upomina ją Reagan.

– Ja... – Jane przełyka ślinę. Co będzie, jeśli nie spodoba się Klientom? Jeśli porównają ją z Żywicielką taką jak Reagan? – Nie poznałam jeszcze... – Oczy zachodzą jej łzami.

– Cóż, nie wszystkie ich poznają – przerywa jej Lisa. – Niektórzy Klienci mają w dupie swoje Żywicielki. Ale większość się nimi przejmuje, ponieważ mają obsesję na punkcie wszystkiego, co związane z ich dziećmi. To taka nowa odmiana narcyzmu. Na tym właśnie polega zadanie Farmy: p o d s y c a ć w bogaczach ten narcyzm, karmić go.

Jane siedzi z tłukącym się w piersi sercem i nic nie mówi. Zaczyna się zastanawiać, czy nie popełniła błędu, czy ta praca nie jest bardziej skomplikowana, niż wydawało się Ate.

– Niezależnie od tego, kiedy poznasz swoich Klientów, twoim celem, jedynym celem, jest ich w sobie r o z k o c h a ć. Chcesz, żeby matka poczuła się dobrze czy wręcz szlachetnie, powierzając ci urodzenie jej dziecka. Chcesz, żeby przy kolejnej ciąży poprosiła właśnie o ciebie. A kiedy rodzice zdecydują się na

drugie dziecko i uprą się, że to ty masz im je urodzić, będziesz miała kartę przetargową. – Lisa zawiesza głos. – Wiesz, co to znaczy?

Jane z zawstydzeniem kręci głową.

– To znaczy, że panna Mae będzie się musiała ugiąć. Dostosować do ciebie. Bo Farma musi przynosić zyski, a Klient ma zawsze rację, więc jeśli Klientowi zależy właśnie na tobie, to jest karta przetargowa. – Lisie zaczynają błyszczeć oczy. – Mo i Klienci mnie uwielbiają. To oznacza, że przy trzecim dziecku mogę się domagać różnych rzeczy, na przykład więcej pieniędzy. Własnego pokoju. Odwiedzin mojego faceta. A nawet CHLEBKABA-NA-NO-WE-GO! – wrzeszczy na całe gardło.

Jane kuli się w sobie. Koordynatorka każe się Lisie uciszyć.

– Na litość boską! – syczy Reagan, piorunując przyjaciółkę spojrzeniem, po czym zwraca się do Jane z wymuszonym uśmiechem: – Nie słuchaj jej. Zwykle nie zachowuje się jak wariatka. To tylko hormony.

– Już ci mówiłam, że hormony to ja – burczy pod nosem Lisa.

– Niczym się nie przejmuj. Dbaj o siebie ze względu na dziecko. Właśnie ono jest teraz najważniejsze: twoje dziecko.

Jane czuje przemożne pragnienie – tak silne, że aż bolesne – by wrócić do domu, znaleźć się jak najdalej od tych obcych kobiet i ich zbyt szybkiego, przemądrzałego sposobu mówienia. Chciałaby leżeć w łóżku z Amalią i oglądać telewizję. Głaskać ją po brzuszku, dopóki nie zaśnie, z rączkami rozrzuconymi nad głową, tak jak to ma w zwyczaju, otwarta i ufna, jakby nic na tym świecie nie mogło jej skrzywdzić. Mdłości, które na moment ustąpiły, atakują Jane ze zdwojoną siłą.

– Dobrze się czujesz? – Reagan nachyla się w stronę Jane i patrzy na nią oczami pełnymi troski.

Jane sięga do podajnika z papierowymi torebkami i wymiotuje.